



Fot. Stanisław Jakubowski / Muzeum w Gliwicach

Pokój w hotelu robotniczym, lata 80.

SEBASTIAN ROSENBAUM

NOWE SPOŁECZEŃSTWO RODZI SIĘ W HOTELU ROBOTNICZYM

Górny Śląsk czasów Polski Ludowej był laboratorium nowego społeczeństwa. Wielka migracja, przede wszystkim wewnętrzna, głęboko zmieniła skład ludności regionu. Trwał nieubłagany spadek odsetka rdzennej ludności. Górnoślązacy wyjeżdżali na Zachód (ich emigrację szacuje się na przynajmniej milion osób), a do śląskich hut i kopalń ściągali „werbusy” – mieszkańcy innych części Polski, głównie Małopolski i Polski centralnej. Szukali pracy, szybkiego zarobku, mieszkania, awansu społecznego, ucieczki przed wojskiem. Napływowi stawali się z wolna dominantą społeczności regionu. Dzięki nim dokonała się wielka wymiana społeczeństwa górnośląskiego. Ich furtką do Górnego Śląska były przeważnie osławione „wulce”, czyli hotele robotnicze.

STATYSTYKI WIELKIEJ WYMIANY

Lata pięćdziesiąte to czas znacznego wzrostu liczby ludności Polski. O ile w 1951 r. kraj zamieszkiwało 25 mln mieszkańców, to dekadę później było ich już prawie 30 mln. Temu wzrostowi towarzyszyła rosnąca mobilność wewnętrzna. Przenoszono się ze wsi do miast (aż o 5 mln wzrosła liczba mieszkańców miast, co jednak po części wynikało ze zmian administracyjnych, a nie przemieszczeń ludności), migrowano – zgodnie z archetypicznym rytmem – ze wschodu na zachód. W skali całego kraju było kilka ważnych ośrodków imigracyjnych, do których Ignęli mieszkańcy innych części państwa. Te „silne” regiony cechowały się dużą przepływowością migracyjną: wielu tu przyjeżdżało, wielu też wyjeżdżało. Obok Warszawy, Krakowa, w mniejszym stopniu Poznania, w czołówce plasował się Górnośląski Okręg Przemysłowy i bliźniaczy Rybnicki Okręg Węglowy.

W województwie katowickim imigranci podwyższali liczbę ludności przede wszystkim na wschodnich obrzeżach okręgu przemysłowego: w miastach Zagłębia Dąbrowskiego, ale też wschodniego Górnego Śląska, z Katowicami i Chorzowem na czele. Tu saldo migracyjne było niezmiennie dodatnie i to znacznie. W zachodniej części województwa było trochę inaczej. Sytuacja balansowała tu między emigracyjnością a imigracyjnością. Innymi słowy, w Bytomiu, Gliwicach i Zabrze trwała wymiana ludności: część rdzennych mieszkańców wyjechała na stałe do Republiki Federalnej Niemiec, niekiedy też do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, a powstałą lukę zapełniała stała imigracja z innych województw. W latach pięćdziesiątych województwa katowickie i opolskie – między które dzielił się od 1950 r. region górnośląski – opuściło w drodze na zachód łącznie prawie 120 tys. osób. Miastem emigracyjnym był Racibórz, w którym wyjazdy przeważały nad przyjazdami. Była to też przypadłość, na którą cierpiało województwo opolskie. Przez cały okres Polski Ludowej miało ono stałe ujemne saldo migracyjne. W latach 1946–1986 przybyło tam 1 mln 720 tys. osób, ale wyjechało – 1 mln 870 tys.

W tym samym czasie do GOP płynął strumień imigrantów z innych województw kraju. Na

3,3 mln mieszkańców województwa katowickiego w 1960 r. w Katowickiem po grudniu 1950 r. osiadło 346 tys. osób (do tego należy doliczyć ok. 18 tys. „późnych repatriantów” z Kresów). Należy przy tym pamiętać, że chodzi tu tylko o tych, którzy napłynęli po 1950 r. – statystyki przemeldowań prowadzone były dopiero od 1949 r., co sprawia, że wcześniejsze procesy migracyjne nie są tak łatwe do uchwycenia. Ogólny udział napływowych w populacji województwa katowickiego szacowano wtedy na 760 tys., czyli 23 proc. ogółu. Wyższy procent imigrantów był w Opolskiem (28 proc.). Były jednak i takie powiaty w Katowickiem, jak powiat tyski, gdzie odsetek przybyszów wynosił 68,7 proc. (1960). Więcej migrantów wewnętrznych niż w województwie katowickim było tylko w województwie wrocławskim.

Migranci w GOP w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pochodzili w większości z województw kieleckiego, krakowskiego, łódzkiego, a także z opolskiego i wrocławskiego. Przez całą dekadę lat sześćdziesiątych corocznie zjawiało się ich pomiędzy 80 a 100 tys. Dziesiątki tysięcy przybyszów po kilkumiesięcznym, czasem kilkuletnim pobycie wyjeżdżało do stron ojczystrych, nie odnajdując się w hektycznej atmosferze GOP, nie potrafiąc się dorobić czy zapaść korzeni. Wielu wyjeżdżało też sezonowo – jesienią i zimą pracowali w przemyśle, a na wiosnę i lato wracali do rodzinnych wiosek i do prac rolnych. Od 1962 r. saldo migracyjne w GOP i ROW było już jednak wyłącznie dodatnie.

W latach siedemdziesiątych wielkie inwestycje przemysłowe ponownie uplasowały województwo katowickie w czołówce polskich obszarów emigracyjnych. Liczba ludności województwa katowickiego rosła nieprzerwanie. W ciągu ćwierćwiecza 1950–1974 zaludnienie podniosło się z 2,4 do 3,5 mln mieszkańców (na ogółem 34,2 mln w Polsce w tym ostatnim roku). Nowe województwo katowickie, powstałe wskutek reformy administracyjnej w 1975 r., trzy lata później liczyło 3,6 mln osób. W latach 1975–1980 przybyło tu 257 tys. osób, przede wszystkim z województw kieleckiego, bielskiego i częstochowskiego, w dalszej kolejności z opolskiego, miejskiego krakowskiego,

wałbrzyskiego i jeleniogórskiego. Owszem, spory był także odpływ i w efekcie saldo migracyjne nie było tak jednoznacznie wysokie (oscylowało w granicach 20 tys. osób rocznie osiedlających się na stałe). Jednak corocznie wyjeżdżało z Katowickiego o kilkadziesiąt tysięcy osób mniej, niż tu przybywało. Zaczęto się to zmieniać dopiero u schyłku lat osiemdziesiątych.

„MARZYŁEM O ŚLĄSKU”

Masy chłopskich synów (rzadziej córek) z Polski centralnej i ze ściany wschodniej, ściągali w dobie planu trzyletniego i sześćioletniego do górnośląskich zakładów, hut, kopalń, na place budowy. W socrealistycznym pseudoreporcie z 1954 r. dziennikarka Lucyna Szczegodzińska pisała: „W tym czasie na wszystkich dworcach kolejowych wokół potężnych budowli socjalizmu pociągi prawie co dzień wyrzucały mniejsze lub większe grupki mężczyzn i kobiet zgłaszających się do pracy. [...] Przybywali przeważnie grupkami. Wiedzeni jakimś dziwnym instynktem odnajdywali się w ciżbie podróźnych”. Trafiali w świat obcy, rządzący się innymi prawami niż zacofane na ogół wioski, w których wyrosli. Stopień technicyzowania rzeczywistości, w której przyszło im odtąd funkcjonować, budził poznawczy wstrząs, a nieumiejętność odnalezienia się w pracach przemysłowych fabryki, huty, kopalni, budząca irytację i kpiny zasiedziały pracowników, pogłębiała poczucie wykluczenia. Reakcją było szukanie dającej oparcie grupy, zwykle złożonej z takich samych „werbusów” (jak zwano „zwerbowanych” do pracy na Górnym Śląsku), co siłą rzeczy wzmacniało groźny, bo oparty na silnych antagonizmach, układ „my i oni”, napływowi i (a raczej: kontra) miejscowi. Przestrzeń miejscowych były zwykle domki jednorodzinne bądź zamieszkałe przez zwarte skupiska ludności kolonie robotnicze złożone z typowych dla regionu familoków. Dla napływowych nierzadko na lata stałym adresem były hotele robotnicze. Potocznie zwano je „wulcami”, zaś oficjalnie te, które pozostawały w gestii przemysłu węglowego, nosiły nazwy domów górnik (względnie domów młodego górnik).

Badania socjologa Stanisława Meszka, prowadzone pod koniec lat pięćdziesiątych w hotelu robotniczym (domu górnik) Kopalni Węgla Kamiennego „Murcki”, wykazały, że prawie połowa lokatorów pochodziła z województwa krakowskiego, głównie z powiatów żywieckiego i nowosądeckiego. Duży był też odsetek osób z województw rzeszowskiego, kieleckiego, lubelskiego i białostockiego (prawie 40 proc.). Niewielu przybyszów pochodziło z Polski centralnej (Łódzkie, Mazowsze) czy Wielkopolski. Na 200 osób zamieszkujących hotel zaledwie 16 pochodziło z miast – reszta, 184 osoby, wywodziła się ze wsi, z wielodzietnych rodzin małorolnych chłopów. Ubóstwo skłaniało ich do migracji, a tendencje wyjazdowe wzmacniane były przez akcje propagandowe, realizowane przez media, prasę i radio, w których nawoływano do wyjazdu na Górny Śląsk do pracy w przemyśle. Ci, którzy pochodzili z rodzin nieco zasobniejszych, przyjeżdżali do pracy sezonowo, w zimie, by dorobić. Czasem do wyjazdu skłaniała perspektywa odpracowania w kopalni służby wojskowej. Ale atrakcyjność miasta, łatwych i stabilnych zarobków, względnie – w porównaniu z rodzinną wioską – wysokiego statusu cywilizacyjnego w okręgu przemysłowym, stanowiła dostateczny magnes. „Marzyłem o Śląsku. Chciałem tam pracować”, stwierdzał lapidarnie „werbus” z powiatu opatowskiego.

Często przyjeżdżały osoby o niskich kwalifikacjach, zdadne tylko do wykonywania najprostszych robót. Tych zwerbowanych, niekiedy niedysponujących nawet pełnym wykształceniem podstawowym, kierowano do tzw. bergówek, czyli szkół przykopalnianych. Jak wspominał po latach jeden z górników z KWK „Makoszowy” w Zabrze: „jeździliśmy po szkołach, to wtedy brało się takich uczni, co nie umieli szkoły skończyć – ósma klasa skończyć – to tu [przy kopalni] do zawodówki. [...] Z całej Polski ściągali się tu ludzi, żeby tu pracowali”. Sięgano jednak również po bardziej wyedukowane grupy. Kopalnie ustanawiały stypendia dla studentów uczelni wyższych, aby w ten sposób wytworzyć rezerwuwar pracowników młodych i z wyższym wykształceniem, mogących stanowić fachowe zaplecze kopalni. Dotyczyło to studiujących



Świetlica w hotelu robotniczym w Tarnowskich Górach, 1976 r.

w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie oraz w utworzonym w 1950 r. Wydziale Górniczym Politechniki Gliwickiej. Pośród „werbuców” umieszczonych w „wulcach” absolutną większość stanowili ludzie młodzi. Jak wykazały badania z końca lat pięćdziesiątych, odsetek mieszkańców tzw. domów górnika pomiędzy 18. a 22. rokiem życia przekraczał 60 proc.; ponad 80 proc. stanowili kawalerowie.

W „WULCACH”

Jak wspomniano, adresem, który umożliwił nowym przybyszom postawienie pierwszych

kroków w nowym otoczeniu, był na ogół hotel robotniczy. Instytucja owa nawiązywała do przedwojennych tradycji – „szlafhauzów” (domów sypialnych/noclegowni dla robotników, niem. Schlafhäuser), zapewniających masom robotników, zwykle sezonowych, łatwo dostępne, acz dość prymitywne lokum. Stawały je prawie zawsze zakłady pracy, zainteresowane przemocowaniem – tanim kosztem – przeważnie nisko wykwalifikowanych pracowników. W okresie tuż przed wybuchem I wojny światowej, gdy udział robotników napływowych w przemyśle górnośląskim był ogromny, działało w regionie ponad

200 domów sypialnych dla 28,5 tys. lokatorów. Z czasem przyjęła się dla nich nazwa „wulc”, „wulchauz”, rzekomo od dysponenta jednego z takich domów w Giszowcu Wilhelma Wultza, choć skojarzenie z wulgarnością („wul”) zakorzeniło się jako oczywiste w uzusie językowym.

Po II wojnie światowej mieszkalnictwo zbiorowe dla pracowników przemysłu bynajmniej nie znikło: przeciwnie, nastąpił czas jego największego rozkwitu. Remontowano i adaptowano dawne szlafhauzy, budowano też nowe obiekty, niekiedy przystosowując zabudowania po dawnych niemieckich obozach pracy przymusowej. Owszem, już w latach czterdziestych wznoszono osiedla mieszkaniowe, od 1949 r. głównie w postaci osiedli tzw. domków fińskich – drewnianego budownictwa jednorodzinne, opartego na prefabrykacjach zakupionych w Finlandii. Takie domki przypadały zwykle rodzinom, gwarantowały stabilizację i uporządkowanie życia codziennego, trudno je wszakże uznać za typowe i powszechne warunki mieszkaniowe. Niełatwo je było otrzymać, a ich wzniesienie było czasochłonne i kosztowne. Budowa i remonty hoteli robotniczych były przedsięwzięciami tanimi i szybkimi, pozwalały na łatwe zaspokojenie zapotrzebowania mieszkaniowego napływających na Górną Śląsk robotników. Przede wszystkim jednak napływ pracowników cechował się ich dużą cyrkulacją, wielu przewinęło się tylko na krótko przez Górną Śląsk. Z punktu widzenia władz przemysłowych, w których dyspozycji pozostawały hotele robotnicze, nie było sensu oferować ludziom, których plany zawodowe nie były skryształizowane, stałych lokali mieszkaniowych. Dopiero z czasem, gdy dany pracownik zapuścił korzenie, można było myśleć o znalezieniu mu stałego miejsca zamieszkania. Ten czas wynosił niekiedy kilka miesięcy, ale bywało, że kilka lat. Na początku lat sześćdziesiątych autorzy piszący o hotelach robotniczych konstatowali, że „mają [one] charakter przejściowy, istnieją bowiem tylko do czasu zlikwidowania głodu mieszkaniowego w Polsce”. Jedno i drugie okazało się mrzonką – ani „głód mieszkaniowy” nie został zaspokojony, ani „wulce” nie znikły.

W początkach lat siedemdziesiątych szacowano, że w województwie katowickim 61 tys. osób zamieszkuje w hotelach robotniczych. Pod koniec tej dekady, w związku z intensywnymi inwestycjami przemysłowymi i budowlanymi, cyfra ta podwyższyła się o kilkadziesiąt tysięcy, sięgając 85 tys. lokatorów „wulców”. W całym województwie powstała gęsta sieć hoteli robotniczych – w 1971 r. było ich ponad 440; oferowały miejsca noclegowe dla prawie 70 tys. osób. Stanowiło to aż jedną trzecią ogółu hoteli robotniczych w całej Polsce. Najważniejszą część spośród tych obiektów w Katowickiem znajdowała się w dyspozycji resortu górnictwa. Od 1955 r. hotele robotnicze należące do kopalń przemianowano, jak już o tym wspomniano powyżej, na domy górnik. Wcześniej istniały domy młodego górnik dla absolwentów górniczych szkół przysposobienia zawodowego, zaś pozostałe domy górnik przeznaczone były dla niewykwalifikowanych pracowników kopalń.

To, co miało być przejściowe, okazało się więc trwałe. Siłą rzeczy hotele robotnicze nie tylko mocno wpisały się w przestrzeń górnośląskich miejscowości, ale też wytworzyły własną subkulturę, mikrospołeczność, która niestety rychło zaczęła cieszyć się złą sławą. Ta zła opinia o hotelach jako wylęgarniach patologii społecznych i ich lokatorach, uznawanych niemalże za bandytów, przetrwała cały okres Polski Ludowej jako silnie obecny topos. W 1973 r. na łamach „Sztandaru Młodych” cytowano dzielniczego MO, który utrzymywał, że „na oko licząc, 70 procent hotelowiczów to porządni ludzie. Ale są tacy, że każdy woli ich omijać. Ciągną się często za nimi różne sprawy, z reguły alimentacyjne, ale bywa że i karne. W mojej dzielnicy hoteli jest 5. Wszędzie sytuacja podobna. Szkoda, że tak właśnie się dzieje, bo przecież tych zwolenników wódki i dziewczyn lekkiego autoramentu jest mniejszość”.

„MY” I „ONI”

Próby łagodzenia niezwykle negatywnego obrazu mieszkańców hoteli robotniczych można zaobserwować w publicystyce całego okresu PRL. Nie zawsze były one skuteczne. Gdy w 1957 r. na łamach katowickich „Przemian” pi-

sarz i dziennikarz Stanisław Broszkiewicz w cieplejszych barwach starał się ukazać problem „wulców”, polemizowano z nim zdecydowanie na stronach innych tytułów prasy lokalnej i regionalnej. W styczniu 1957 r. w rybnickich „Nowinach” uznano, że chuligani z domów górnika w Czerwionce, Dębieńsku, Jastrzębiu, Boguszowicach, Chwałowicach, Niedobczycach i Radlinie to „wróg publiczny numer 1” powiatu rybnickiego. Widziano w nich rozsądnik pijaństwa i zorganizowanego bandytyzmu oraz napaści na miejscową ludność, terroryzowaną przez lokatorów „wulców” przy pomocy noży, kastetów i brzytw.

Niedługo później rzeczywistość przyniosła ponure potwierdzenie pesymistycznych spostrzeżeń dziennikarzy tygodnika „Nowiny”, którzy pisali jeszcze w duchu „październikowej” otwartości. 27 I 1957 r. w Popielowie pod Rybnikiem odbyła się potańcówka karnawałowa, rozbita wskutek krwawej i brutalnej bijatyki wszczętej przez grupę ponad 20 mieszkańców domów młodego górnika. Ofiarą bójki padł mieszkaniec pobliskich Niedobczyc Łucjan Reclik, pobity ze skutkiem śmiertelnym; 11 innych osób było poważnie rannych. Odnosząc się do tych wydarzeń, w „Nowinach” wskazywano, że zajścia były efektem nie tylko patologii typowej dla mieszkańców „wulców”, ale także wynikiem ich „prostackiego stosunku do ludności miejscowej”, jak napisano w gazecie. Na łamach tygodnika argumentowano, że „niektórzy z nich [mieszkańców domów młodego górnika], uważają, że Ślązak to pies lub szwab, którego należy bić po mordzie. A ich znajomość przeszłości historycznej Śląska jest wprost kompromitująca!”.

W wypadkach popielowskich – niejedynym bynajmniej tego typu przypadku w owych latach – manifestowała się głęboka niechęć i wrogość między miejscowymi a napływowymi – sytuacja konstatawana już w pierwszych miesiącach powojennych 1945 r., gdy na Górny Śląsk przybywały pierwsze transporty z Kresów. Nie zniknęła też w kolejnych latach. Latem 1947 r. w sprawozdaniu referatu osiedleńczego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach stwierdzano, że „stosunki między repatriantami i ludnością miejscową są bardzo niedobre, mianowicie

repatrianci nie szanują własności miejscowej ludności i wywołują swym agresywnym zachowaniem wiele rozdzwieków i zniechęcenia. [...] Miejscową ludność wyzywa się od szwabów, germanów itp.”. W tym samym czasie w raportach Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego zauważano, odwrotnie, że „zdarzają się wypadki szykanowania ludności osiedleńczej w postaci kradzieży, niszczenia dobytku, przesyłania listów anonimowych z pogróżkami. Atmosfera ta wpływa ożywiająco na ludność autochtoniczną, którzy w większej części zrehabilitowali się w celach materialnych, tj. utrzymania majątku i uniknięcia wysiedlenia z granic Polski”.

Pierwotna niechęć między Kresowianami, którzy od wiosny 1945 r. osiedlali się na Górnym Śląsku, a rdzenną ludnością górnośląską, znalazła swoją kontynuację w relacjach między Górnoślązakami a napływowymi różnej proveniencji, przybywającymi sezonowo czy na stałe do okręgu przemysłowego. Utrzymująca się przez lata wrogość między tymi społecznościami pokazywała, że ambitna intencja wojewody śląskiego z lat 1945–1950 Aleksandra Zawadzkiego, aby na Górnym Śląsku „wrosło [...] jednolite i krzepkie polskie społeczeństwo”, sformułowana w grudniu 1945 r., długo nie mogła liczyć na realizację.

HOTELOWE PATOLOGIE

Cytowany wcześniej „Nasz Dom” Lucyny Szczegodzińskiej to literacki reportaż, odmiana socrealistycznego produkcyjniaka, którego bohaterem kolektywnym nie jest załoga zakładu pracy, ale mieszkańcy „Domu Młodego Robotnika przy Kopalni Zabrze-Wschód”, jak głosi podtytuł tej książki, wydanej w 1954 r. w wydawnictwie Centralnej Rady Związków Zawodowych w Warszawie. Szczegodzińska przyjechała do Zabrza przyciągnięta złą sławą hoteli robotniczych w Górnośląskim Okręgu Przemysłowym, nie po to jednak, by stworzyć demaskatorski reportaż. Przeciwnie: napisała łzawą historyjkę z happy endem, w której szlachetni działacze socjalistycznej młodzieżówki odnoszą zwycięstwo nad garstką demoralizatorów i degeneratów. Bóle porodowe nowego społeczeństwa w okręgu przemysłowym Górnego Śląska

Reporterska sonda w kilku zakładach przemysłowych na temat spędzania czasu wolnego. Odpowiedzi swychajnie, stereotypowe: domowa porządki, gotowanie, opieka nad dziećmi, wizyty u przyjaciół czy rodziny, telewizja. Czasem zakupy, randka, kino, nauka, roz-

NOWOCZESNY, dwupiętrowy budynek, własność (nawet w huty „Ferrum”). Porównania, kłopoty, stonęta obdukcja cały zakład. Pasją szerokich korzystać przegrę sztuk otwieranych drzwi. Motywni w papkach, kracich bluzach, podkoszulkach pstrzeczają progi swoich pokoi. Choć czystych, ozdoblonych kwiatami, obrazkami w wyświeconych ramach, fotosami dziewczyny i widokówkami rozpiętymi na ścianach, bywa że s kłótnie na ścianie i telewizjo- nem na stole. I tych obkur- szych, s rozrzuconą pościelą, na- gni kłótniami i zdeptaną podłogą po której walają się przesu- wające niedierpilnymi kopniakami buty.

Wzrostowe umeblowanie, jed- nostkowe wersalki, tapczany, stół, krzesła na drobny i odzież, a jednak

pojawiają się różnice – tak jak różni są ludzie którzy je zamieszkuje.

Chłotel robotniczy jak inne – nie jest lepszy, ani gorszy. Bywa, że mieszka się tu 5-8 lat, bywa że jest tu trudni (fluktuacja w hotelu jest niezauważalnym zjawiskiem w zakładzie).

– Życie w hotelu nie jest złe – mówi MARIAN SZYDŁO (hotelow- nia s dwuletnim stażem). – hwa wszyscy pracujemy na

Ludzie z hotelu

i przyjemności domu

człowiek we własnej chałupie. Mamy sporo wolnego czasu. Jak go wykorzystujemy? Niektórzy się dokształcają, inni majsterkują: robią kwiatniki, kinkiety, ramki i rozmaite ozdoby do pokoi. Można obejrzeć telewizję, poczytać, posiedzieć w świetlicy, spać albo jechać do miasta – na co kto ma ochotę.

Ochotę miewa się na różne rzeczy – nie wykraczające jednak poza krąg zwykłego „zabijania czasu”. Bo

hotelowe życie – nie jest złe, nie jest dość nijakie.

żele teatr. Oł, normalna odczlenność. Ale wśród odpowiedzi powta- rza się niepokojące sąsiednie „no, swychajnie, pójdę gdzieś na miasto”. W prowadzącej osiedle mówią tak ludzie s hoteli robotnic- zych. Odbicie konkretnej sytuacji? – ale czy normalnej?

Więć niektórzy próbują urozmaić je racjonalnie, inni szukają ucieczki w alkoholu. Burdy bywa- ją często, nieraz s interwencją milicji.

Dzielnicy MO, STANISŁAW JANISZEWSKI, mówi: na oko li-

nicy – bo otoczenia umie obser- wować i zauważa nie ewycza- jność, ale wszystko to, co od niej odbiega. Toteż hotelowiczom, na których ciąży odium rozrabiaczy, w pewnym sensie wyłącza się z miejskiej społeczności. Nawet

teren wokół hotelu, założyc kwie- tniki, wybudować boisko do siat- kówki, prowadzić własne audycje w radiowęzi, a co najważniejsze – przebudować piwnice na ka- wiarnię i salę gimnastyczną. To na pewno chwyci, oba pomie- szczenia bardzo się nam przyda- dą, a i sama robota ciekawa. Tworzenie własnymi rękami dla siebie to nada sens hotelowym dniom!

W tym czasie młody człowiek nie żyje normalnym życiem, nie musi planować budżetu ani wdierać się do czynności i obowiązków niezbędnych później w życiu ro- dzinnym.

Przenosząc się ze wsi lub ma- łego miasteczka do wielkiej fa- bryki młody mieszkaniec HR po- zostawia s sobą rodzinę, przyja- ciół, środowisko, tradycje, oby- czaje. Dysponuje niewielką wie- dzą o życiu. Często nie potrafi- swobodnie poruszać się w nowym wielkoprzemysłowym środowisku. Niektórzy nie umieją przystoso- wać się do nowych warunków ustabilizować w życiu zawo- dowym i osobistym. Życiową punktę wypełniają towarzystwem przy- padkowych kompanów i alkoho- lem. Hotele

– Idealne na przetrwanie pierwszego trudnego okresu – na dłuższą metę stanowię przeszkodę w rozwoju człowie- ka

hamują dążenia do samodzielno- ci. Sytuacja taka może odpowia- dać ludziom o ograniczonych po- trzebach, ale tych jest przecięt- niewiele.

Problem hoteli robotniczych to sprawa poważna. W samym tył- woj. katowickim w hotelach ro- botniczych i domach górnikła mie- sika ponad 81 tys ludzi, s którzy przyłączeniara większość nie prze- kroczyła 30 roku życia.

MAŁGORZATA JUSZCZYSZYN

Artykuł w „Sztandarze Młodych” poświęcony problemom hoteli robotniczych.

opisała w miniatuże jako tryumf socjalistycznej moralności nad zgnilizną o kułacko-kapitali- stycznej proveniencji. Nie oszczędziła jednak czytelnikom takich obrazków z hotelu robotni- czego, które dobrze były znane i kształtowały potoczny obraz owych hoteli.

„Podwórce [...] sprawiało wrażenie śmiet- niska. Był to przynębiający widok. Wnętrza baraków mieszkalnych też się niepięknie przed- stawiały. W niechlujnie utrzymanych pokojach brudni mieszkańcy rozwalali się na łózkach w ubrani i butach. Pościel nie różniła się kolo- rem od koców. W zaśmieconej jadalni, na lepią- cych się od brudu stołach rozpierali się mieszk- ańcy – wszyscy z czapkami na głowie. Na widok takiego okropnego zaniedbania ścisnęło się serce Nyklowej. Oczami gospodyni i matki widziała wszystko: brudne koszule chłopców, ubrania niejednokrotnie w łachmanach, oczy rozbiegane ze strachu albo też twarze dla od- miany wykrzywione pogardliwym uśmiechem... Zupa, której spróbowała, była wprost odrzą- żająco niesmaczna. Drzwi do pokoiów chłop- cy otwierali kopniakiem – nie miały klamek. Okna przepuszczały chłód jesiennego wieczo- ru – brak w nich było wielu szyb”. Kierownicza stołówki opisywanego domu młodego górnikła opowiadała z kolei: „już nie raz chcieli mnie bić,

tak jak bili kucharki. Obiecywali pozabijać nas na drodze. Przecież to strasni ludzie, nikt sobie z nimi nie może dać rady! Co takiemu pchnąć mnie nożem w plecy albo walnąć czymś cięż- kim w głowę? Najgorzej jest przy kolacji. Gaszą światło i urządzają takie bójki, że niektórych po- gotowie zabiera do szpitala”.

Jeszcze w latach siedemdziesiątych nie in- aczej postrzegano codzienność hotelowego by- towania, jednak prasa starannie łagodziła ostre kanty obrazu „wulców”. Jak pisała dziennikarka „Sztandaru Młodych” Małgorzata Juszczyzyn, w tekście bynajmniej nie mającym być surowym oskarżeniem warunków panujących w hotelach robotniczych, „hotelowe życie [...] jest dość nija- kie. Więć niektórzy próbują urozmaić je racjo- nalnie, inni szukają ucieczki w alkoholu. Burdy bywają często, nieraz z interwencją milicji”. Po burdach pozostawały rachunki za zdewasto- wane sprzęty, meldunki o awanturach, izolacja „hotelowiczów” od lokalnej społeczności. „Na- wet dziewczęta na zabawy w hotelu dowozi się autokarami zakładowymi z żeńskich hoteli robotniczych, bo te mieszkające po sąsiedzku nie przyjdą”. Dziennikarka szukała wyjaśnienia: „przenosząc się ze wsi lub małego miasteczka do wielkiej fabryki młody mieszkaniec HR pozo- stawił za sobą rodzinę, przyjaciół, środowisko,

tradycje, obyczaje. Dysponuje niewielką wiedzą o życiu. Często nie potrafi swobodnie poruszać się w nowym, wielkoprzemysłowym środowisku. Niektórzy nie umieją przystosować się do nowych warunków, ustabilizować w życiu zawodowym i osobistym. Życiową pustkę wypełniają towarzystwem przypadkowych kompanów i alkoholu”.

Dezorganizacja społeczna, alkoholizm, przestępczość i prostytucja uznawane były przez analityków sytuacji panującej w hotelach robotniczych w latach siedemdziesiątych za typowe i trwałe formy patologii życia społecznego w tych „mikrostrukturach”, jakimi były społeczności hotelowe. Wskazywano na odczuwany tam brak perspektyw życiowych, brak więzi ze współlokatorami i sąsiadami z miasta, brak integracji koleżeńskiej. Pozostawieni samym sobie przybysze, wrzuceni w obcy świat, nie potrafili inaczej reagować na poczucie obcości, jak tylko przez ucieczkę w zachowania patologiczne.

„Wulce” nie tylko w miejskiej legendzie i w potocznej recepcji stały się synonimami patologicznych gett. Rzeczywistość wydaje się mocno zbieżna z popularną, a tak negatywną

opinią. Ale „wulce” to przecież także synonimy wielkiej fali migracji, jaka poczynając od drugiej połowy lat czterdziestych, załaziła Górny Śląsk, zmieniając całkowicie substancję ludnościową regionu. Nowe społeczeństwo rodziło się w bólach. Wśród pijaństwa, przestępczości, bandytyzmu i prostytucji kwitły postawy przeciwne – pracy nad sobą, ambicje awansu społecznego. Górnik kopalni „Pstrowski” z Zabrze Stanisław Gruszczyński wspominał: „Ja, jako młody chłopak, osiemnastoletni, przyszedłem na hotel, a tam już mieszkali kawalerka po dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, trzydzieści lat, i mnie dali do pokoju; [...] starzy wyjadacze, pijusy. A ja [...] przyszedłem z książkami, bo do technikum od razu. Ja tu lekcje odrabiam, a oni tam piją, leją ci wódkę... Nie będę pił! Ja nie chciałem pić! I w nocy, przyszedłem po pracy, szedłem do szkoły, potem chciałem się wyspać, a oni w nocy libacje urządali, sprowadzali dziewczyny na przykład na hotel. [...] Ciężko było się uczyć w ogóle. Więc postanowiliśmy [...], że pójdziemy na prywatne mieszkanie”.

Dr Sebastian Rosenbaum – historyk, pracownik naukowy Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Katowicach.

Źródła i literatura:

- Archiwum Państwowe w Katowicach.
- Archiwum IPN Katowice.
- L. Szczegodzińska, *Nasz Dom. Dom Młodego Robotnika przy Kopalni Zabrze Wschód*, Warszawa 1954.
- J. Przedborski, *Hotele robotnicze*, Warszawa 1956.
- J. Suchorończak, *Analiza struktury społecznej i warunków bytowych mieszkańców domów górników przy kopalniach Dymitrow i Kościuszko*, Katowice 1960.
- *Badania nad osiedlami górniczymi*, „Górnośląskie studia socjologiczne” 1963, t. 1.
- L. Kosiński, *Migracje ludności w Polsce w latach 1950–1960*, Warszawa 1968.
- *Hotele robotnicze 1971*, „Statystyka Polski – Materiały Statystyczne” 1972, nr 109.
- Z. Gajewski, *Społeczne uwarunkowania picia alkoholu w hotelach robotniczych*, Warszawa 1972.
- Wojewódzki Urząd Statystyczny w Katowicach, *Stan i ruch ludności 1975–1980*, Katowice 1981.
- S. Rosenbaum, *Hotele robotnicze jako przestrzeń życiowa w okręgu przemysłowym Górnego Śląska w drugiej połowie XX wieku*, [w:] *Realia życia codziennego w Europie Środkowej ze szczególnym uwzględnieniem Śląska*, red. A. Barciak, Katowice–Zabrze 2011.
- B. Piecha-van Schagen, *Mieszkanie. Osiedla i „wulce”*, [w:] *Kopalnia to je do mnie wszystko. Narracje górnicze z terenu Zabrze*, Zabrze 2016.